

## Oswald Spengler: Kultury jako organizmy

Nie tylko artysta walczy z oporem materii i przeciw zniweczeniu w sobie idei. Każda kultura pozostaje w głęboko symbolicznym i prawie mistycznym związku z tym, co rozciąga, z przestrzenią, w której i przez którą chce się urzeczywistnić. Gdy cel zostaje osiągnięty, a idea – cała pełni wewnętrznych możliwości – spełniona i zaktualizowana na zewnątrz, kultura nagle zastyga, zamiera, krew jej krzepnie, siły nikną – przeobraża się w cywilizację – w „Teologii Politycznej Co Tydzień” 85: „Po co nam cywilizacja?” przypominamy słynną tezę Oswalda Spenglera.

Widzialny pierwszy plan wszelkiej historii jest jako konsekwencja stawania się tym, co obecne, co się stało. Samo stawanie uwidacznia się historycznemu spojrzeniu tylko o tyle, o ile formy państwowości, formy gospodarki bitwy, jako też sztuki, nauki, bogowie, matematyka, moralność są symbolami, wyrazami jakiejś duszy. „Wszystko, co mija, / Jest li przyrównaniem”[1]. To, co przemijające, jest alegorią naznaczonego kształtem stawania się, organizmu. Kultury są organizmami. Jeśli dokonamy w umyśle przeglądu ich kształtów, to z pewnością zdołamy wykryć ów prąksztalt kultury, który jako ideał formalny tkwi u podstaw wszystkich poszczególnych kultur i ich tak różnych aktualizacji.

Kultura jest *prafenomenem* minionych i przyszłych dziejów powszechnych. Wyższa kultura jest *prafenomenem* rozpościerającej się przed naszymi oczami, obejmującej pełne 6000 lat wyższej historii.

Głęboką i niezbyt docenianą ideę Goethego – odkrytą przez poetę w jego „żywej naturze” i tkwiącą stale u podstaw jego badań morfologicznych – trzeba tu w jej najściślejszym sensie zastosować do wszystkich w pełni dojrzałych, obumarłych w kwiecie wieku czy zduszonych w zarodku tworów ludzkiej historii. Jest to metoda wczuwania się, nie zaś analizy. „Najwyższe, do czego człowiek może dojść – to zadziwienie, i gdy prafenomen wprawia go w zdumienie, niech będzie zadowolony; nic wyższego nie może mu to przynieść i nic dalszego nie powinien za tym szukać: tu jest granica”. Prafenomen jest tym, w czym leży przed oczyma w swojej czystości idea stawania się. Goethe rozpoznawał jasno swym okiem duchowym ideę prarośliny w każdej roślinie, akurat wyrosłej albo w ogóle możliwej. W badaniach nad *os intermaxillare* wychodził od prafenomenu podtypu kręgowców, w innych dziedzinach – od geologicznej stratyfikacji, od liścia jako praformy wszystkich roślinnych organów, od metamorfozy roślin jako pierwotnego obrazu wszelkiego organicznego wzrostu. „To samo prawo da się zastosować do wszystkich pozostałych istot żyjących” – pisał z Neapolu do Herdera, gdy donosił mu o swym odkryciu. Był to taki wgląd u istotę rzeczy, który by dobrze rozumiał Leibniz; stulecie Darwina pozostało mu z gruntu obce.

Jednakże zbywa nam jeszcze na takich dociekaniach historycznych, które byłyby całkiem wolne od metod darwinizmu, tj. systematycznej, opartej na zasadzie przyczynowości wiedzy przyrodniczej. Nigdy nie było mowy o ścisłej i jasnej, w pełni świadomej swych środków i granic

fizjonomie, której metody należałoby dopiero odkryć. Wielkie zadanie XX wieku polega na tym, by starannie odsłonić wewnętrzną strukturę organicznych jednostek, przez które i w których dokonuje się historia powszechna – by odróżnić rzeczy morfologicznie konieczne i istotne od przypadkowych, uchwycić tendencję zdarzeń oraz ustalić leżącą u jej podstaw mowę.

Nieprzejrzana rzesza istot ludzkich, bezbrzeżny strumień wypływający z ciemnej przeszłości, gdzie nasze poczucie czasu zatracą funkcję porządkującą, a niespokojna fantazja – lub lęk – wyczarowuje w nas obraz epok geologicznych, by ukryć za nim ciągle nierozwiązaną zagadkę; strumień, który zanika w równie ciemnej i bezczasowej przyszłości: oto kanwa faustowskiego obrazu ludzkiej historii. Jednolite kołysanie fal niezliczonych pokoleń porusza rozległą powierzchnię. Tu i ówdzie rozpościerają się świetliste smugi; migotliwe światelka tańczą i ścielą się na wodzie, mącą i wprawiają w wibracje jasne zwierciadło, rozbłyskują i znikają. Nazywamy je klanami, plemionami, ludami, rasami. Zespalażą one szereg pokoleń na jakimś ograniczonym wycinku historycznej powierzchni. Wraz z wygaśnięciem w nich twórczej mocy – bardzo skądinąd różnej, z góry określającej odmienne okresy trwania i odmienną plastyczność tych formacji – znikają także specyficzne cechy fizjonomiczne, językowe i duchowe, a całe zjawisko rozprzega się znowu w chaosie pokoleń Ariowie, Mongołowie, Germanie, Celtowie, Partowie, Frankowie. Kartagińczycy, Berberowie, Bantu – to miana na określenie nader różnorodnych formacji tego porządku. Po tej samej powierzchni przeciągają majestatyczne grzywy fal wyższych kultur. Wyłaniają się nagle, zataczają wspaniałe kręgi, opadają, znikają, a zwierciadło wody leży znowu uśpione i opuszczone

Kultura rodzi się w chwili, gdy jakaś wielka dusza budzi się z pradurowego stanu wiecznie dziecięcej ludzkości, odłączając się jako kształt od bezkształtnego, jako coś ograniczonego i przemijającego od bezgranicznego i trwającego. Rozkwita na glebie ściśle określonego krajobrazu, z którym pozostaje związana na sposób rośliny. Umiera, gdy dusza ta urzeczywistni już ogół swych wewnętrznych możliwości w postaci narodów, języków, dogmatów, sztuk, państw, nauk, powracając tym samym do stanu praduchowości. Ale jej żywe istnienie, owo następstwo wielkich epok, które wytyczają ścisły zarys postępującego wypełniania się kulturowych możliwości, jest wewnętrzną namiętną walką o utrzymanie idei kultury wbrew siłom chaosu na zewnątrz i skrytej sferze nieświadomości, dokąd z gniewnym pomrukiem siły te się usunęły. Nie tylko artysta walczy z oporem materii i przeciw zniweczeniu w sobie idei. Każda kultura pozostaje w głęboko symbolicznym i prawie mistycznym związku z tym, co rozciąga, z przestrzenią, w której i przez którą chce się urzeczywistnić. Gdy cel zostaje osiągnięty, a idea – cała pełnia wewnętrznych możliwości – spełniona i zaktualizowana na zewnątrz, kultura nagle zastyga, zamiera, krew jej krzepnie, siły nikną – przeobraża się w cywilizację. Zrozumiały i odczuwalny sens tego terminu kryje się w słowach egiptycyzm, bizantyzm, mandarynizm. W ten sposób może ona – niby obumarły gigantyczny pień w dziewiczym lesie – jeszcze przez stulecia i tysiąclecia wznosić ku górze zbutwiałe konary, jak można to dostrzec w Chinach, Indiach czy świecie islamu. Tak właśnie sterczała w górę niczym olbrzym – z pozorną młodzięcą werwą i bujnością życia – starożytna cywilizacja epoki cesarstwa, zabierając młodej arabskiej kulturze Wschodu powietrze i światło.

Taki jest sens wszystkich „zmięchów” dziejowych – wewnętrznego i zewnętrznego wypełnienia, skończoności ciężącej fatalnie nad każdą żywą kulturą - z których jako najwyraźniejszy jawi się nam „zmięch starożytności”, sami zaś już dzisiaj wyraźnie odczuwamy w sobie i wokół siebie wczesne oznaki własnego, analogicznego w przebiegu i trwaniu wydarzenia, które należy do pierwszych stuleci przysłego tysiąclecia: „zmięchu Zachodu”[2].

Każda kultura przechodzi w swym istnieniu fazy rozwojowe człowieka. Każda ma wiek dziecięcy, młodość, dojrzałość i wreszcie starość. Młoda, onieśmielona, ciężka od przeczuć dusza objawia się z brzaskiem stylu romańskiego i gotyku. Wypełnia faustowski kraj brąz od Prowansji trubadurów aż po katedrę w Hildesheim biskupa Bemwarda. Wieje tam wiosenny wiatr. „W dziełach staroniemieckie architektury – mówi Goethe – widzimy punkt szczytowy pewnej niezwyklej sytuacji. Ten, kogo oczom taki rozkwit się bezpośrednio narzuca, może się tylko zdumiewać. Kto jednak umie wejrzeć w tajemne wewnętrzne życie roślin, w rozbudzone siły, w stopniowe rozkwitanie ten spogląda na całą rzecz zupełnie inaczej, ten wie, co dostrzega”. Mityczna świadomość świata zмага się tu z ciemnymi i demonicznymi: „mocami w sobie samej i w przyrodzie niby z pewnym zadłużeniem, aby w procesie powolnego dojrzewania wyrazić w czysty i klarowi sposób konkretne istnienie, wreszcie osiągnięte i pojete. Im bardziej jakaś kultura zbliża się do zenitu swego istnienia, tym bardziej dojrzała, wytrawna, opanowana, nasycona staje się jej mowa form, jak sobie w końcu zapewniła; tym wyraźniej rysuje się jej oblicze. Teraz już w pełni świadomości dojrzałej siły twórczej każdy z osobna rys oblicza wydaje się rozmyślnie wybrany, precyzyjny, odmierzony, o cudownej lekkości i oczywistości. Znajdujemy tu wszędzie chwile przyświecającego wypełnienia. Jeszcze późniejsze, delikatne aż do granic kruchości,

przesycone bolesną słodyczą ostatnich dni październikowych, są Afrodyta Knidyjska i kariatydy Erechtejonu, arabeski na saraceńskich łukach podkowiastych, drezdeński Zwinger, Watteau oraz Mozart. Wreszcie, w fazie starości nadchodzącej cywilizacji, wygasa ogień duszy. Niknące siły ważą się na jeszcze jeden, połowicznie udany wysiłek twórczy i wydają klasycyzm, dobrze znany wszystkim zamierającym kulturom. Dusza wspomina raz jeszcze w romantyzmie jakby z melancholią swoje dzieciństwo. W końcu traci – znużona, zniechęcona i zimna – chęć do życia i tęsknie powraca – jak w okresie cesarstwa rzymskiego – od tysiącletniego światła dziennego do mroków praduchowego mistycyzmu, do macierzyńskiego łona, do grobu.

Jest to zniewalający urok „drugiej religijności” w późnej epoce starożytnej: kultury Mitry, Izydy i kultury solarne – te same, które świtająca właśnie dusza na Wschodzie napełniła całkowicie nową treścią jako wczesny, marzycielski, nieśmiały wyraz swojej samotności w tym stulecie.

*Oswald Spengler*

*Przełożył Józef Marzęcki*

Powyższy fragment pochodzi z tomu *Zmierzchu Zachodu* Oswalda Spenglera wydane nakładem Wydawnictwa Aletheia.

Oswald Spengler  
Zmierzch Zachodu



WYDAWNICTWO ALTERNATYWA

[1] Goethe, Faust, dz. cyt., cz. II, w. 12097-12098, s. 474 (przyp. wyd. pol.).

[2] Nie jest to katastrofa „wędrowki ludów”, która niczym zniszczenie kultury Majów przez Hiszpanów była przypadkiem losowym bez jakiegokolwiek głębszej konieczności, lecz wewnętrzny demontaż, który zaczął się od czasów Hadriana i odpowiednio w Chinach za rządów wschodniej dynastii lian (25-220).